

**BRUNO
SCHULZ**

SANATORIUM

POD

KLEPSYDRĄ

Bruno Schulz

Sanatorium Pod Klepsydrą

«Public Domain»

Schulz B.

Sanatorium Pod Klepsydrą / B. Schulz — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	5
II	8
Конец ознакомительного фрагмента.	9

Bruno Schulz

Sanatorium Pod Klepsydrą

I

Podróż trwała długo. Na tej bocznej, zapomnianej linii, na której tylko raz na tydzień kursują pociągi – jechało zaledwie paru pasażerów. Nigdy nie widziałem tych wagonów archaicznego typu, dawno wycofanych na innych liniach, obszernych jak pokoje, ciemnych i pełnych zakamarków. Te korytarze załamujące się pod różnymi kątami, te przedziały puste, labiryntowe i zimne miały w sobie coś dziwnie opuszczonego, coś niemal przerażającego. Przenosiłem się z wagonu do wagonu w poszukiwaniu jakiegoś przytulnego kąta. Wszędzie wiało, zimne przeciągi torowały sobie drogę przez te wnętrza, przewiercały na wskroś cały pociąg. Tu i ówdzie siedzieli ludzie z węzełkami na podłodze, nie śmiejąc zająć pustych kanap nadmiernie wysokich. Zresztą te ceratowe, wypukłe siedzenia zimne były jak lód i lepkie od starości. Na pustych stacjach nie wsiadał ani jeden pasażer. Bez gwizdu, bez sapania pociąg ruszał powoli i jakby w zamyśleniu w dalszą drogę.

Przez jakiś czas towarzyszył mi człowiek w podartym mundurze kolejowca, milczący, pograżony w myślach. Przyciskał chustkę do spuchniętej, obolałej twarzy. Potem i ten gdzieś przepadł, wysiadł niepostrzeżenie na którymś przystanku. Zostało po nim wyciśnięte miejsce w słomie, zalegającej podłogę, i czarna, zniszczona walizka, którą zapomniał.

Brodząc w słomie i odpadkach, szedłem chwiejnym krokiem od wagonu do wagonu. Drzwi przedziałów chwiały się w przeciągu, na przestrzał otwarte. Nigdzie ani jednego pasażera. Wreszcie spotkałem konduktora w czarnym mundurze służby kolejowej tej linii. Owijał szyję grubą chustką, pakował swoje manatki, latarkę, książkę urzędową. – Dojeżdżamy, panie – rzekł spojrzawszy na mnie całkiem białymi oczyma. Pociąg powoli stawał, bez sapania, bez stukotu, jak gdyby życie powoli zeń uchodziło wraz z ostatnim tchnieniem pary. Stanęliśmy. Cisza i pustka, żadnego budynku stacyjnego. Pokazał mi jeszcze, wysiadając, kierunek, w którym leżało Sanatorium. Z walizką w rękę poszedłem białym wąskim gościńcem, uchodzącym niebawem w ciemny gąszcz parku. Z pewną ciekawością przyglądałem się pejzażowi. Droga, którą szedłem, wznosiła się i wyprowadzała na grzbiet łagodnej wyniosłości, z której obejmowało się wielki widnokrąg. Dzień był całkiem szary, przygaszony, bez akcentów. I może pod wpływem tej aury, ciężkiej i bezbarwnej, ciemniała cała ta wielka misa horyzontu, na której aranżował się rozległy, lesisty krajobraz ułożony kulisowo¹ z pasm i warstw zalesienia, coraz dalszych i bardziej szarych, spływających smugami, łagodnymi spadami, to z lewej, to z prawej strony. Cały ten ciemny krajobraz, pełen powagi, zdawał się ledwie dostrzegalnie płynąć sam w sobie, przesuwać się mimo² siebie jak chmurne i spiętrzone niebo pełne utajonego ruchu. Płynne pasy i szlaki lasów zdawały się szumieć i rosnać na tym szumie jak przyptyw morza wzbierający niedostrzegalnie ku lądowi. Wśród ciemnej dynamiki lesistego terenu wyniesiona biała droga wiła się jak melodia grzbietem szerokich akordów, naciskana naporem potężnych mas muzycznych, które ją w końcu pochłaniały. Uszczknąłem gałązkę z przydrożnego drzewa. Zieleń liści była całkiem ciemna, niemal czarna. Była to czerni dziwnie nasycona, głęboka i dobroczynna jak sen pełen mocy i posilności. I wszystkie szarości krajobrazu były pochodnymi tej jednej barwy. Taki kolor przybiera krajobraz niekiedy u nas w chmurny zmierzch letni, nasycony długimi deszczami. Ta sama głęboka i spokojna abnegacja³, to samo zdrętwienie zrezygnowane i ostateczne, nie potrzebujące już pociechy barw.

¹ *kulisowo* – o kompozycji malarskiej: w taki sposób, że bliższe plany zastępują dalsze. [przypis edytorski]

² *mimo* (daw.) – obok. [przypis edytorski]

³ *abnegacja* – brak troski o swój wygląd lub swoje korzyści. [przypis edytorski]

W lesie było ciemno jak w nocy. Szedłem omackiem po cichym igliwiu. Gdy drzewa się przerzedziły, zadudniły mi pod nogami belki mostu. Na drugim jego końcu, wśród czerni drzew majaczyły szare wielookienne ściany hotelu, reklamującego się jako Sanatorium. Podwójne szklane drzwi u wejścia były otwarte. Wchodziło się w nie wprost z mostku ujętego z obu stron w chwiejne balustrady z gałęzi brzoźowych. W korytarzu panował półmrok i solenna cisza. Zacząłem na palcach posuwać się od drzwi do drzwi, czytając w ciemności umieszczone nad nimi numery. Na zakręcie natknąłem wreszcie na pokojówkę. Wybiegła z pokoju, jakby się wyrwała z czyichś rąk natrętnych, zdyszana i wzburzona. Ledwo rozumiała, co do niej mówiłem. Musiałem powtórzyć. Kręciła się bezradnie.

Czy moją depeszę otrzymali? Rozłożyła ręce, jej wzrok powędrował w bok. Czekwała tylko na sposobność, by móc skoczyć ku drzwiom wpółotwartym, ku którym zezowała.

– Przyjechałem z daleka, zamówiłem telegraficznie pokój w tym domu – rzekłem z pewnym zniecierpliwieniem. – Do kogo mam się zwrócić?

Nie wiedziała. – Może pan wejdzie do restauracji – płątała się. – Teraz wszyscy śpią. Gdy pan Doktor wstanie, zamelduję pana.

– Śpią? Przecież jest dzień, daleko jeszcze do nocy...

– U nas ciągle śpią. Pan nie wie? – podniosła na mnie zaciekawione oczy. – Zresztą tu nigdy nie jest noc – dodała z kokieterią. Już nie chciała uciekać, skubała w rękach koronkę fartuszka, kręcąc się.

Zostawiłem ją. Wszedłem do ciemnej na wpół restauracji. Stały tu stoliki, wielki bufet zajmował szerokość całej ściany. Po długim czasie uczułem znowu pewien apetyt. Cieszył mnie widok ciast i tortów, którymi obficie były zastawione płyty bufetu.

Położyłem walizkę na jednym ze stolików. Wszystkie były puste. Klasnąłem w ręce. Żadnej odpowiedzi. Zajrzałem do sąsiedniej sali, większej i jaśniejszej. Sala ta otwarta była szerokim oknem czy loggią⁴ na znany mi już pejzaż, który w obramieniu framugi⁵ stał ze swoim głębokim smutkiem i rezygnacją jak żałobne memento. Na obrusach stolików widać było resztki niedawnego posiłku, odkorkowane butelki, na wpół opróżnione kieliszki. Gdzieś leżały nawet jeszcze napiwki nie podjęte przez służbę. Wróciłem do bufetu, przyglądając się ciastom i pasztetom. Miały wygląd nader smakowity. Zastanawiałem się, czy wypada samemu się obsłużyć. Uczułem napływ niezwykłego łakomstwa. Zwłaszcza pewien gatunek kruchego ciasta z marmoladą jabłeczną napędzał mi do ust oskome⁶. Już chciałem podważyć jedno z tych ciast srebrną łyżką, gdy uczułem za sobą czyjaś obecność. Pokojówka weszła na cichych pantoflach i dotykała mi pleców palcami. – Pan Doktor prosi pana – rzekła oglądając swoje paznokcie.

Szła przede mną – i pewna magnetyzmu, jaki wywierało granie jej bioder, nie odwracała się wcale. Bawiła się nasilaniem tego magnetyzmu, regulując odległość naszych ciał, podczas gdy mijaliśmy dziesiątki drzwi opatrzone numerami. Korytarz ściemniał się coraz bardziej. W zupełnej już ciemności oparła się przelotnie o mnie. – Tu są drzwi Doktora – szepnęła – proszę wejść.

Doktor Gotard przyjął mnie stojąc na środku pokoju. Był to mężczyzna małego wzrostu, szeroki w barkach, z czarnym zarostem.

– Dostaliśmy pańską depeszę jeszcze wczoraj – rzekł. – Wysłaliśmy kocz⁷ zakładowy na stację, ale przyjechał pan innym pociągiem. Niestety, połączenie kolejowe jest nie najlepsze. Jakże się pan czuje?

– Czy ojciec żyje? – zapytałem zatapiając wzrok niespokojny w jego uśmiechniętej twarzy.

– Żyje, naturalnie – rzekł wytrzymując spokojnie moje żarliwe spojrzenie. – Oczywiście w granicach uwarunkowanych sytuacją – dodał przymrużając oczy. – Wie pan równie dobrze jak ja, że

⁴ *loggia* – rodzaj krytego balkonu bądź pomieszczenia, w którym jedna z zewnętrznych ścian została zastąpiona przez rząd arkad. [przypis edytorski]

⁵ *framuga* – obramowanie, do którego przymocowane jest okno bądź skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

⁶ *oskoma* (daw.) – ochota, apetyt. [przypis edytorski]

⁷ *kocz* – rodzaj czterokołowego powozu konnego, często na resorach. [przypis edytorski]

z punktu widzenia pańskiego domu, z perspektywy pańskiej ojczyzny – ojciec umarł. To się nie da całkiem odrobić. Ta śmierć rzuca pewien cień na jego tutejszą egzystencję.

– Ale ojciec sam nie wie, nie domyśla się? – zapytałem szeptem. Potrząsnął głową z głębokim przekonaniem. – Niech pan będzie spokojny – rzekł przyciszonym głosem – nasi pacjenci nie domyślają się, nie mogą się domyślić...

– Cały trick polega na tym – dodał, gotów mechanizm jego demonstrować na palcach, już ku temu przygotowanych – że cofnęliśmy czas. Spóźniamy się tu z czasem o pewien interwał⁸, którego wielkości niepodobna określić. Rzecz sprowadza się do prostego relatywizmu. Tu po prostu jeszcze śmierć ojca nie doszła do skutku, ta śmierć, która go w pańskiej ojczyźnie już dosięgła.

– W takim razie – rzekłem – ojciec jest umierający lub bliski śmierci...

– Nie rozumie mnie pan – odrzekł tonem pobłażliwego zniecierpliwienia. – Reaktywujemy tu przeszły czas z jego wszystkimi możliwościami, a zatem i z możliwością wyzdrowienia.

Patrzył na mnie z uśmiechem, trzymając się za brodę.

– Ale teraz zechce pan pewnie zobaczyć się z ojcem. Stosownie do pańskiego zlecenia zarezerwowaliśmy dla pana drugie łóżko w pokoju ojca. Zaprowadzę pana.

Gdyśmy wyszli na ciemny korytarz, Doktor Gotard już mówił szeptem. Zauważyłem, że ma na nogach filcowe pantofle, jak pokojówka.

– Dajemy naszym pacjentom długo się wysypiać, oszczędzamy ich energię życiową. Zresztą i tak nie mają tu nic lepszego do roboty.

Pod którymiś tam drzwiami zatrzymał się. Przyłożył palec do ust.

– Niech pan wejdzie cicho – ojciec śpi. Niech się pan także położy. To najlepsze, co pan może w tej chwili uczynić. Do widzenia.

– Do widzenia – szepnąłem czując bicie serca podchodzące mi do gardła. Nacisnąłem klamkę, drzwi poddały się same, uchyliły jak usta otwierające się bezbronne we śnie. Wszedłem do środka. Pokój był prawie pusty, szary i nagi. Na zwykłym drewnianym łóżku pod małym okienkiem leżał mój ojciec w obfitej pościeli i spał. Głęboki jego oddech wyładowywał całe pokłady chrapania z głębi snu. Cały pokój zdawał się być już wyłożony tym chrapaniem, od podłogi do sufitu, a wciąż jeszcze przybywały nowe pozycje. Pełen wzruszenia patrzyłem na wychudzoną, zmizerowaną twarz ojca, pochłoniętą teraz całkiem przez tę pracę chrapania, twarz, która w dalekim transie – porzuciwszy swą ziemską powłokę – spowiadała się gdzieś na odległym brzegu ze swej egzystencji uroczystym wyliczaniem swych minut.

Drugiego łóżka nie było. Od okna ciągnęło przenikliwie zimno. Piec był nie opalony.

Nie zdają się tu zbytnio troszczyć o pacjentów – myślałem sobie. – Tak chory człowiek wydany na pastwę przeciągów! I nikt chyba tu nie sprząta. Gruba warstwa kurzu zalegała podłogę, pokrywała szafkę nocną z lekarstwami i ze szklanką wystygłej kawy. Na bufecie leżą stosy ciastek, a pacjentom dają czystą czarną kawę zamiast czegoś posilnego! Ale wobec dobrodziejstw cofniętego czasu jest to naturalnie drobnostką.

Rozebrałem się powoli i wsunąłem się do łóżka ojca. Nie obudził się. Chrapanie jego tylko, widocznie za wysoko już spiętrzone, zeszło o oktawę niżej, rezygnując z górnolotności swej deklamacji. Stało się niejako prywatnym chrapaniem, na własny użytek. Obcisnąłem dookoła ojca pierzynę, chroniąc go, o ile możliwości, od wiejącego z okna przeciągu. Wkrótce zasnąłem obok niego.

⁸ interwał – odstęp, odległość. [przypis edytorski]

II

Gdy się obudziłem, był zmrok w pokoju. Ojciec siedział już ubrany przy stole i pił herbatę, maczając w niej sucharki z lukrem. Miał na sobie nowe jeszcze, czarne ubranie z angielskiego sukna, które sprawił sobie ostatniego lata. Krawat jego był trochę niedbale związany.

Widząc, że nie śpię, rzekł z miłym uśmiechem w swojej przybladłej od choroby twarzy: – Ucieszyłem się serdecznie, żeś przyjechał, Józefie. Co za niespodzianka! Czuję się tu tak samotny. Nie można się co prawda w mojej sytuacji uskarżać, przeszedłem już gorsze rzeczy i gdybyście wyciągnąć *facit*⁹ ze wszystkich pozycji... Ale mniejsza o to. Wyobraź sobie, podano mi tu zaraz pierwszego dnia wspaniałą *filet de boeuf*¹⁰ z grzybkami. Była to piekielna sztuka mięsa, Józefie. Ostrzegam cię najusilniej – gdyby ci tu kiedykolwiek miano podać *filet de boeuf*... Jeszcze czuję ogień w brzuchu. I diarea¹¹ za diareą... Nie mogłem sobie całkiem dać rady. Ale muszę ci oznajmić nowinę – ciągnął dalej. – Nie śmieć się, wynająłem tu lokal na sklep. Tak jest. I gratuluję sobie tego pomysłu. Nudziłem się, wiesz, serdecznie. Nie masz wyobrażenia, co za nudy tu panują. A tak mam przynajmniej przyjemne zajęcie. Nie wyobrażaj sobie znów żadnych wspaniałości. Skądże znowu. Daleko skromniejszy lokal niż nasz dawny magazyn. Po prostu buda w porównaniu z tamtym. U nas w mieście wstydziłbym się takiego straganu, ale tutaj, gdzieśmy tyle musieli popuścić z naszych pretensyj – nieprawdaż, Józefie?... – Zaśmiał się boleśnie. – I tak jakoś się żyje. – Zrobiło mi się przykro. Wstydziłem się zmieszania ojca, który spostrzegł, że użył niewłaściwego wyrazu.

– Widzę, żeś śpiący – rzekł po chwili. – Prześpij się jeszcze trochę, a potem odwiedź mnie w sklepie – nieprawdaż? Właśnie tam śpieszę, żeby zobaczyć, jak interesy idą. Nie masz pojęcia, jak trudno było o kredyt, z jakim niedowierzaniem odnoszą się tu do starych kupców, do kupców z poważną przeszłością... Przypominasz sobie lokal optyka na rynku? Otóż zaraz obok jest nasz sklep. Szyldu jeszcze nie ma, ale i tak trafisz. Trudno się omylić.

– Czy ojciec wychodzi bez palta? – zapytałem z niepokojem.

⁹ *facit* (łac.) – dosł: czyni. [przypis edytorski]

¹⁰ *filet de boeuf* (fr.) – filet wołowy. [przypis edytorski]

¹¹ *diarea* (z łac.) – biegunka. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.